

# Kronika tygodniowa.

Podgórze zniknęło więc z horyzontu, wcielone w skład Wielkiego Krakowa, a pogrzeb jego odbył się w dniu 4 lipca 1915 roku, to jest akurat w lat dwadzieścia pięć od owej chwili, gdyśmy składali na Wawelu zwłoki Adama Mickiewicza na wieczny spoczynek.

Aneksyi dokonano bardzo spokojnie, bez krwi rozlewu, lał się tylko szampan i strzelały korki, na moście zaś trzecim, łączącym oba miasta, znalazło się w dniu tym uroczystym tyle wielkości, iż groził zawaleniem, dzięki jednak Najwyższemu skończyło się tylko na strachu.

Dokładnego sprawozdania z obchodu składać Czytelnikom nie będę, znają przebieg uroczystości z codziennych pism, zresztą przyznam się z ręką na sercu, że tam nie byłem, gdyż mnie zapomniano zaprosić! Żałuję zaś zwłaszcza tego, że nie należałem do owych dwustu wybranych, którym danem było pokrzepić się śniadaniem na koszt miasta i na jego koszt ugasić pragnienie. Na dwieście bowiem osób obliczoną była stypa pogrzebowa, urządzona sumptem trzech tysięcy koron, wobec czego na głowę, a raczej na każdy żołądek przypada koron piętnaście i o tyle właśnie mam pretensję do komitetu, który mnie pominął, ale może to jeszcze naprawić, przeznaczając mi relutum odpowiednie w gotowiźnie.

Aż do tego czasu wstrzymuję się więc z wypowiedzeniem swych zapatrywań na znaczenie tego faktu tak dla Krakowa, jakoteż i Podgórza, które z wolnego, królewskiego miasta stało się dzielnicą Wielkiego Krakowa i przeszło pod panowanie najmiłościwiej rządzącego nami Juliusza I.

Celem upamiętnienia tej historycznej chwili ma być podobno zaprowadzone w krakowskim magistracie trzyrazowe urzędowanie, to jest do obecnego dwurazowego przybędzie jeszcze czas od jedenastej w nocy (wówczas zamyka się z rozporządzenia komendy lokale publiczne) do czwartej rano. Ta pora będzie przeznaczoną na załatwianie spraw nie znośzących światła dziennego i gorąca dajmy na to n. p. wyborczych. Na dwunastą w nocy przypadnie godzina duchów, przeznaczona na audyencye dla ś. p. nieboszczyków, mających zamiar wziąć osobisty udział w akcyi wyborczej do rady miejskiej, sejmu, parlamentu i t. d., a właśnie wszystkie te ciała są obecnie rozwiązane.

Gorąco zaś dokucza nam w całej pełni, wody we Wiśle, a tem samem i w miejskim wodociągu coraz mniej, z rozpaczny chodzę już stale z laską, a nie z parasolem, sądząc, że w ten sposób może uda mi się deszcz sprowadzić.

Rozpoczęły się wakacje w całej pełni, rok bieżący tem się przecież różni od poprzednich, że Krakowianie przeważnie nie wyjeżdżają na świeże powietrze, ani do kąpiel, wiele natomiast osób, które dotąd bawiły zdala od rodzinnego gniazda, powraca nad modrą Wisłę, ciesząc się, że kraj nasz oczyszczony jest już od nieproszonych gości prawie w zupełności. Zjeżdżają więc teściowe na utrapienie swych zięciów, wracają ojcowie na łono marnotrawnych synów, zaczyna się zaludniać nawet i czarna giełda. Jeden tylko Aron Gajer nie wróci na swe dawne stanowisko na Szpitalnej ulicy, wyewakuował się bowiem do Chrzanowa i tam zakończył swój żywot pracowity, nie doczekawszy się upragnionego mandatu do parlamentu.

Ja, podobnie jak to czynię co roku, nie wyjeżdżam wcale z Krakowa, nie będę też grał wyjątkowo roli słomianego wdowca, koniunktury finansowej natury tak się bowiem złożyły, że trzeba siedzieć na miejscu, a świeże powietrze z kurzem łykać na plantacyach lub wdychiwać na Błoniach miejskich nad niezasypaną dotąd Rudawą, kędy fizykat miejski hoduje kultury różnych bakcyliów, nie wyłączając cholery, tyfusu i t. d.

Humoru więc nie mam, a myślę, że w tem samem położeniu jest i wielu innych obywateli rozszerzonego Krakowa i jeśli kiedy, to dziś żałuję bardzo, że małżonka nie obdarzyła mnie potomkiem płci męskiej, miałbym bowiem wyrzucić na kim swą złość, gdyż nie ulega kwestyi, iż byłby z pewnością przyniósł złe świadectwo, bo to jabłko pada zwykle niedaleko od jabłoni, a i ja sam miałem za swych młodych lat dość kłopotu z belframi, którzy w żaden sposób na mych zdolnościach poznać się nie chcieli, a tak mnie przytem lubili, iż z zasady zostawiali mnie rok drugi w tej samej klasie.

Wszelakie nauki, od kaligrafii poczynsz, a na łacinie, grece, historii, filozofii i t. d. skończywszy, były zawsze dla mnie piętą Achillesową, a miałem tych pięć tyle, iż nie policzyłyś ich na palcach

obu rąk i nóg. Mój ś. p. rodzic był zaś człowiekiem dość popędliwym, przemawiał mi więc z różnych stron do serca i rozumu, nieraz nawet w sposób dość dla mnie nieprzyjemny, odniosłem przecież z tego taką korzyść, iż dziś mam skórę bardzo wytrzymałą, a i to coś znaczy!

Bardzo chętnie też, aby utrzymać tradycje rodzinne, postąpiłbym dziś tak samo ze swym otrokiem, coż jednak poradzę, skoro go nie mam! Zdaje się, że trzeba będzie nad swym grobem kazać zlać miecz i skruszyć herbową tarczę. Miejsce miecza może w danym razie zastąpić mój historyczny parasol, o ile przedtem nie nabędzie go Muzeum Narodowe do swych zbiorów osobliwości.

To przynajmniej dobrze, iż człowiek ma obecnie gwarancję, że się po śmierci dostanie prosto do nieba, a to dzięki owym najrozmaitszym postom, na jakie obecnie jesteśmy z woli władz wyższych skazani. Boję się tylko, by z tego powodu nie było z czasem w niebie przeludnienia, gotowi bowiem urządzić stamtąd przymusową ewakuację i część mieszkańców przenieść w drodze urzędowej do baraków w piekle albo w czyście, gdzie pobyt nie jest podobno wcale przyjemny. Tak mi przynajmniej opowiadała kiedyś we śnie moja ś. p. teściowa, która stale co roku raz mnie odwiedza, by mi podziękować, że ongiś starałem się zawsze uprzyjemnić jej życie na tym leż podole.

Chciałbym w każdym razie doczekać się końca wojny, a zapowiadają go znowu na jedenastego listopada bieżącego roku, za dotrzymanie przecież tego terminu, ani redakcja *Nowości Ilustrowanych*, ani tem mniej kronikarz odpowiedzialności na siebie brać nie może, zwłaszcza, że najrozmaitsze przepowiednie różnych pań de Thèbes, babek i dziadków dotąd się nie sprawdziły. Czekajmy przecież, do listopada nie jest znów tak daleko.

Że zaś wojna może, a nawet powinna się już raz skończyć, wnoszę to z tego, iż pan Rappaport-d'Annunzio został już oficerem i to do tego kawalerii (ekwytację odbywał za młodu na karuzeli, jako poeta jeździł potem na pegazie), tak mi przynajmniej doniósł w liście, jaki od niego w tych dniach otrzymałem.

Treść jego (naturalnie listu, nie Annunzia!) jest następująca:

„Kochany Kronikarzu, a Kolego po piórze!

Przesyłając w załączeniu prenumeratę kwartalną za *Nowości Ilustrowane*, których jestem od samego założenia abonentem i gorliwym zwolennikiem, w kwocie... (to już Czytelników nie powinno obchodzić, ile on płacił... przyp. zecera), proszę uprzejmie o sprostowanie na podstawie paragrafu dziewiętnastego ustawy prasowej, na tem samem miejscu, tym samym drukiem i tą samą farbą, iż nie jest prawdą, jakoby dotąd do wojska nie wstąpił, czekając, aż ktoś ogłosi jeszcze wyższą nagrodę za zdobycie nieprzyjacielskiego sztandaru, natomiast prawdą jest, że służę wojskowo i to do tego w kawalerii, której jestem porucznikiem. Walczę mężnie, jak na prawdziwego Włocha przystało, jeśli zaś dotąd nie mogłem się niczem odznaczyć, nie moja w tem wina, nie jest też wykluczonem, iż stanie się to, jeśli nie prędzej, to później, chyba, gdyby się wojna przedwcześnie skończyła.

Przyjm przy tej sposobności koleżeński łąpościsk i uważaj się za pocałowanego przez oddanego Ci szczerze

Gabryela d'Annunzio (a nie żadnego Rappaporta!... Wypraszam sobie podobne alluzje do mego żydowskiego pochodzenia) król. porucznika kawalerii i kawalera orderu Zwiastowania etc. etc.“

Tego rodzaju prośbie odmówić nie mogłem, list ten przytaczam też *in extenso*, nie wątpiąc, że i on odważajemui mi się w ten sam sposób, gdyby tego kiedyś zasłaba potrzeba, choć bardzo wątpliwe, gdyż ja żadnych listów, a tem samem sprostowań pisać nie lubię i z zasady ich nie piszę.

Zanim zaś wojna się skończy, ciekawy jestem, ile razy zmieni się jeszcze taryfa maksymalna na różne środki spożywcze, ujrzała bowiem światło dzienne, jeśli się nie mylę, dziesiąta, z której dowiedzieliśmy się, iż mięso potaniało o dwanaście halerzy na kilogramie, zdrożały natomiast inne rzeczy, między niemi zapalki, za które teraz trzeba będzie płacić po trzy halerze za pudełko! Zdrożeje także i spirytus, choć taryfą nie objęty, zapowiadają mianowicie, iż od litra podatek rządowy podniesiony będzie z dwudziestu halerzy na siedmdziesiąt, co znów da sposobność szynkarzom do podskoczernia także w cenie, gdyż oni bardzo lubią skakać i korzystają zaraz z każdej nadarzającej się ku temu

sposobności, Doszło już do tego, że za kieliszek, który dawniej kosztował pięć centów, płaci się obecnie dziesięć i więcej. Szynkarze lwia część z tego chowają w kieszeń na czarną godzinę i narzekają jeszcze, że dokładają do interesu, bo teraz takie ciężkie czasy, że nawet woda zdrożała.

Bolesnie też dotknął najszerze sfery ludności nakaz zamknięcia wielu szynków i ograniczenie sprzedaży napojów wysokowych z wyłączeniem spirytusu denaturowanego, na którym, jak już wspomniałem w poprzedniej kronice, może każdy używać, ile chce i o ile może, wiadomo bowiem, iż trudno go nabyć i że nie jest wcale smacznym, jak o tem miałem się sam sposobność przekonać, wypijając niedawno przez pomyłkę kieliszek. Plułem potem przez cały tydzień (naturalnie do spluwaczki, gdyż tak każe pan fizyk) i dziś jeszcze czuję ten smak na języku. Czytałem zaś w *Kuryerku*, że Moskałe chwalą sobie bardzo nowy rodzaj wódki, sporządzonej z spirytusu denaturowanego, kwasu i pieprzu! Brr!... Aż mi się słabo robi na samo wspomnienie! Tyle specyaliów na raz!... Nie dziwię się też, że kto ma takie gusta, musi przegrać wojnę, co daj Panie Boże jak najrychlej!

Najgorzej jednak, że straciłem wiarę w przysłowia, o których dotąd zawsze twierdziłem, iż są filozofią narodów. Dlaczego się to zaś stało, postaram się wytłumaczyć Szanownym Czytelnikom i nadobnym Czytelniczkom.

W dziale zagadkowym *Nowości Ilustrowanych*, którym zajmuje się mój serdeczny przyjaciel i kolega (ja mu czasem pomagam!), wyczytałem niedawno przysłowie, powiadające, że „po świętym Janie lada baba deszcz uprosi“. Tymczasem Janów minęło już tytu, niedawno najważniejszy z nich, bo święty Jan Chrzciel, a deszczu, jak nie było, tak niema, chyba, że baby o niego nie proszą, a o to ich nie posądzam, boć i im gorąco daje się porządnie we znaki, aczkolwiek noszą na sobie obecnie takie przeźrocza, iż nowomodną suknię damską można teraz całkiem wygodnie zmieścić w zwykłej kopercie listowej i nie potrzeba nawet opłacać podwójnego porta. Z góry niewiele, z dołu jeszcze mniej, oto zasada, jaką się kierują panie modniarki.

Myślałby może kto, że taka suknia mniej kosztuje? Dyabła tam! Im mniej materiału, tem cena wyższa...

Dajmy zresztą spokój babskim kieckom, mógłby ktoś zarzucić mi, że jako mężczyzna na tem się nie znam, a miałby zupełną rację. Ani pary nie puściłbym z... buzi, siedziałbym cicho, dlatego też i teraz wracam do owego, wyżej zacytowanego przysłowia i autorowi jego wyrażam w swem własnem imieniu i wielu innych *votum* nieufności.

Jedno tylko przysłowie sprawdza się prawie zawsze, choć i tu można powiedzieć, że niema reguły bez wyjątku! Brzmi ono: „Baba z wozu, koniom lżej“.

Proszę mi jednakowoż powiedzieć, czy koniom, naturalnie w przenośnem tego słowa znaczeniu, jest rzeczywiście lżej, jeśli n. p. pogniewa się na nie n. p. bogata ciotka i obrażona wyjedzie, obiecując solennie nie zapisać nikomu ani złamanego szeląga, chyba, co najwyżej, stare okulary?

Tak jest! Przysłowia często zawodzą, ale cóż dziś nie zawodzi na świecie?

Zawiedli się nawet nasi sportsmani od piłki nożnej, nawołując amatorów tej gry do jak najliczniejszego wzięcia udziału w ćwiczeniach, zgłosiło się bowiem niewiele. Inicytorom zachciało się tej zabawy, jak starej babie terek, dziś, gdy brak nam na każdym polu rąk do pracy, nie powinno się oddawać sportom. Kto ma ochotę wytrenować się należycie, niech się zgłosi na wieś do robót polnych, przysłuży się społeczeństwu i zahartuje swe ciało lepiej, niż na boisku footballowem, gdzie się tylko czas niepotrzebnie traci, łamie ręce, nogi i nosy i karki kręci!...

Myślę, że na brak rozmaitości w niniejszej kronice, nikt się skarżyć nie może. Poruszyłem tyle aktualnych momentów, iż aż sam się dziwię, skąd się u mnie w kanikularnym czasie tyle wzięło fantazyi, zwłaszcza, że nie puściłem dotąd ani jednej kaczkii dziennikarskiej.

Czego jednak dotąd nie było, to stać się jeszcze może, o ile naturalnie jegomość pan, metrampaż, nie powie: „Halt! Brak miejsca!“ (Używa on z przyjemnością niemieckich wyrażeń, wybiera się bowiem do służby wojskowej, pewny, że karabin nie minie go przy najbliższym „musterunku“, do którego staną wszyscy liczący do pięćdziesięciu lat życia, a i dalszy ciąg pono nastąpi!...)

